Wszyscy śpiewacy wypadają w nich zadowalająco, a pierwszoplanowymi postaciami są tu Anna Mikołajczyk-Niewiedział i Patryk Rymanowski, odtwarzający role dwójki połączonych szczęśliwie w finale kochanków.

Jako że mamy do czynienia z komedią, w operze nie brakuje również odcinków o figlarnym, dowcipnym charakterze, które przez prowadzącego interpretację Bartłomieja Stankowiaka z dużym wyczuciem zostały zestawione z ustępami o pogłębionym wyrazie. Choć w muzyce co rusz pobrzmiewa także nuta patosu, niekiedy wspartego marszową rytmiką, udało się jednak dyrygentowi uniknąć koturnowości i zbytniego napuszenia, przez co realizacja przybrała wdzięczną, niekiedy wręcz wyrafinowaną postać.

Żniwiarze Duniego nie tylko wskazują wyraźnie na źródła polskiej opery stanisławowskiej, lecz udowadniają jednocześnie, że warto tak właśnie jak czynią od początku swego istnienia artyści z Accademia dell'Arcadia, penetrować obszary odległe od głównego nurtu rozwoju muzyki – czekają tam bowiem w zapomnieniu dzieła mogące dostarczyć niemało satysfakcji zarówno odbiorcom, jak i odważnym, gotowym wydobyć je na światło dzienne wykonawcom. ●

Witold Paprocki

Wyimki z kronik zagrożonych gatunków

Krzysztof Hoffmann

1.

Przygotowując niniejszy przegląd czasopism kulturalnych (społecznych, literackich), coraz silniej odnoszę wrażenie, jakoby był on gatunkiem zagrożonym, i to przynajmniej podwójnie – choć jak się zaraz okaże, jego dość metaforyczne zagrożenie wiąże się ze zgoła realnym przeczuciem stanu podwyższonego ryzyka na innych polach.

Po pierwsze, co chyba dość oczywiste, sam nie ma swoich reguł, nie istnieje żaden jego kanon, nikt nie wie, gdzie można odnaleźć utrwalony wzorzec, do którego można się odwołać. Wiadomo, że musi być siłą rzeczy idiosynkratycznie selektywny, ale jednocześnie powinien sprawiać wrażenie opanowania materiału nadzwyczaj chimerycznego, niezbornego, poruszającego się we własnym, niezależnym rytmie. Jest wreszcie – bardziej niż, powiedzmy, inne formy – narażony na pytanie o odbiorcę, łatwiej można go podejrzewać o swoistą ksobność, musi samego siebie pytać o czytelnika.

Po drugie, co być może bardziej istotne, od kiedy przyszło mi intensywniej przyglądać się rynkowi czasopiśmiennemu, sygnały zagrożenia dla (nie)gatunku przeglądu docierają od samego jego przedmiotu opisu. Jeśli jednym z zadań jest odnotowywanie nowych zjawisk (starałem się pisać choćby o „Książkach", „Herito", „eleWatorze") i żegnanie odchodzących (np. „Kresy", „Pogranicza"), trzeba przyznać, że większy rezonans wzbudza drugi proces. Mówiąc wprost, pisma same zaczęły postrzegać się jako gatunek zagrożony.

2.

Z okazji jubileuszu 20-lecia występowania w przyrodzie „Kwartalnika Artystycznego" (4/2012) Julia Hartwig snuje dość gorzkie rozważania i zauważa, że przez ten okres „liczba czasopism zajmujących się literaturą i sztuką znacznie się przerzedziła, jedne umierały śmiercią natualną, zaniedbane przez czytelników, inne ginęły wskutek utraty dotacji, z której mogłyby się utrzymać. Kiedy dochodzi do cięć w funduszach publicznych, pierwsze padają ofiarą instytucje i czasopisma poświęcone sztuce". Zasłużona poetka, której KA poświęcił niedawno łamy, świętując jej 90. urodziny (3/2011), odnotowuje jednocześnie, że przez minione dwie dekady samemu pismu dwukrotnie groziło wyginięcie.

Po trzech latach hibernacji do czasopiśmiennego ekosystemu powrót deklarują „Pobocza. Czasopismo poświęcone literaturze Europy Środkowej, Południowej i Wschodniej" (1/2012). Jeśli wybudzenie ze snu się powiedzie i słaby puls zostanie podtrzymany, pismo ma szansę pełnić funkcję ciekawego łącznika z literaturą bliższych i dalszych sąsiadów (numer prezentuje autorów z Bułgarii, Czech, Chorwacji, Ukrainy, Serbii, Polski, Słowacji i Słowenii). Uwagę zwraca blok tekstów, którego bohaterem jest Nazar Honczar – ukraiński poeta i performer, który zmarł w 2009 roku w wieku 45 lat. Paweł Szydeł, redaktor naczelny, przyczyn zawieszenia działalności każe się jedynie domyślać („Przerwa w ukazywaniu się pisma spowodowana była trudnościami, do których wracać nie warto"), ujawnia natomiast, że comeback możliwy był dzięki wsparciu uzyskanemu z bydgoskiego Miejskiego Centrum Kultury.

Takim szczęściem nie może się pochwalić występujący endemicznie i pomimo dość wysokiego nakładu ostatnio rzadko spotykany „Red.". Po siedmiu latach i trzynastu numerach numer czternasty (1/2012), który zjawia się po ponad roku nieobecności, zatytułowany jest „Ostatni". Tutaj przynajmniej można wskazać winowajcę – to zmiany klimatyczne na rynku dystrybucji. Naczelny pisma, Radosław Wiśniewski, w wywiadzie z samym sobą (skądinąd dość zabawnie pomyślanym) wyjaśnia sprawę następująco: „w negocjacjach z firmą dystrybucyjną, która chciała brać od nas 300 do 400 egzemplarzy pisma, pojawia się wymóg opłaty za samo wejście do sieci dystrybucji [w wysokości] 7000 [zł] netto. Jakby nie wystarczyło, że każda firma pobiera od wydawcy pisma haracz w wysokości minimum 50% ceny wydrukowanej na okładce".

3.

Oczywiście, sytuacja każdego z przywołanych tytułów jest inna. „Kwartalnik Artystyczny" to pismo, w którym pojawiają się największe nazwiska polskiego głównego nurtu literackiego, trwale obecne w podręcznikach szkolnych. Wystarczy przejrzeć ostatnie numery, co jest tym łatwiejsze, że prawie kompletne roczniki od 2007 dostępne są bezpłatnie w sieci. Miłosz, Szymborska, Herbert, Różewicz, Zagajewski… Pytanie, jak dalece jest to twórczość dziś czytana przez osoby zainteresowane stanem literatury, zaraz po-

wróci. „Pobocza" są (będą?) intencjonalnie wymierzone w niszę. Chcą prowadzić dialog z tym, co aktualne w danym obszarze Europy, choć niedostatecznie rozpoznane, a jeśli rozmowa nie zawsze jest możliwa, to przynajmniej informować. Pytanie, czy mogą osiągnąć sukces, zaraz powróci. Natomiast „Red." jest (był?) pismem młodoliterackim, a zatem z założenia poza opozycją nisza/centrum. W większym stopniu – jak każdy gest młodoliteracki – chciał performatywnie narzucić nowy porządek (towarzyszyła mu seria literacka), nie bał się ryzyka w przekonaniu, że ma miejsce i czas na pomyłki. Mógł być zawodowo śmieszny, amatorsko (z zachowaniem etymologii słowa) poważny – nie bez powodu jeden z numerów (3-4/2007) zawierał blok tekstów o kampie. Pytanie, czy może nie był wystarczająco ryzykancki, właśnie powraca.

Wspólnym mianownikiem tych pytań, zadawanych jakże odmiennym propozycjom wydawniczym, jest pytanie o dzisiejszego czytelnika. Nie sposób bowiem nie odnieść wrażenia, że jest to byt tyleż mityczny, co jednocześnie zmitologizowany.

4.

Z jednej strony, doświadczenie podpowiada, że czytelnik nowy to jest najczęściej czytelnik młody, jeśli już do pism kulturalnych trafia, to jest to spotkanie jakby od niechcenia, jego znajomość z nimi ma charakter przygodny, jest nie tyle towarzyszem wiernym, ile partnerem, po którym jakby nikt tej wierności się nie spodziewa.

W tej sytuacji znajdują się choćby studenci kierunków humanistycznych, którzy pomimo wyrazistej specjalizacji coraz częściej okazują się bardziej młodzi niż studenccy. W miejscu stałego zainteresowania opinią i zapotrzebowania na opinię (dostarczoną przez spersonalizowany tekst drukowany) pojawia się wyszukiwanie potrzebnej bezosobowej informacji (której nośnikiem są teletechnologie). Archiwum i Internet zamieniły się rolami. W większym stopniu być może należałoby się dziwić własnemu zdziwieniu, że dobra studentka trzeciego roku studiów filologicznych bez myśli o potrzebie spąsowienia (potrzeba zniknęła wraz z samym słowem) przyznaje, że o „Literaturze na Świecie" się uczyła, ale nie wiedziała, że nadal się ukazuje, ponieważ nigdy nie miała żadnego egzemplarza w dłoniach. Obieg treści czasopiśmiennej jest dla czytelników nowych obiegiem na poły archeologicznym, w którym natrafia czasem na intrygujące znaleziska, częściej jednak traktuje go jako nieinteresujący relikt przeszłości.

Jednocześnie czytelnik „stary" nie jest traktowany jako dojrzały, doświadczony uczestnik kultury, lecz jako osobnik swoją starością spetryfikowany. Raczej próżno szukać płomiennych filipik albo choćby różnicy zdań pomiędzy poszczególnymi redakcjami (na scenie tej wyróżnia się z pewnością „Krytyka Polityczna" i, z zupełnie innych powodów, „Lampa"). Nie tak łatwo znaleźć (nawet w miesięcznikach) odpowiedź na czyjś tekst. Trudno wypracować sobie opinię na temat danej polemiki, ponieważ do tej pierwszej potrzebne są te ostatnie. Taki czytelnik jest nieruchomy, i lepiej go zbytnio nie poruszyć, można bowiem utracić z nim więź jakąkolwiek. To kolejna postać z katalogu bytów zagrożonych, siłą rzeczy lepiej go więc zamknąć w ochronnym rezerwacie.

W rezultacie czytelnik albo aktywnie się alienuje (nowy) albo pasywnie jest unieobecniany (stary). Staje się stworzeniem mitycznym.

5.

Z drugiej strony jednak, należy zadać sobie pytanie, czy taki stan nie jest efektem +

wcześniejszego zmitologizowania postaci. Czy utyskiwanie na niemrawego (lub też nieistniejącego) czytelnika nie wynika z faktu, że istnieć on nie może, ponieważ jest życzeniową projekcją.

W „Toposie" (6/2012) znajduję szkic Adriana Glenia pod znamiennym tytułem Koniec krytyki i zadanie myślenia, który jest rozważaniami na marginesach książki Andrzeja Zawady Oset, pokrzywa. Szkice o literaturze. Zawada deklaruje pożegnanie z krytyką, ponieważ wcześniej krytyka pożegnała się z czytelnikami, a dokładniej rzecz ujmując, to oni pierwsi odeszli bez słowa. Gleń podejmuje ten wątek krytycznie, ale samego założenia nie kwestionuje: „Dyskurs literaturoznawczy, jego sztywny gorset, uniemożliwia – piszę te słowa jako ten wszak, który uprawia ów dziwaczny (komu już dzisiaj potrzebny?) zawód literaturoznawcy i kto zdaje sobie sprawę z **jałowości** [wyr. – KH] takiego o literaturze pisania; pisania, którego (właśnie!) nikt czytać już nie chce poza wąskim gronem «specjalistów» – swobodę, gubi indywidualną i intymną relację, która zawiązuje się z tekstem podczas lektury". Chwilę później to samo zdanie powraca w formie już tylko bezsilnego pytania zawieszonego w bezkresnej ciszy bez odpowiedzi (moja nieudolna hiperbola nie oddaje dramatyzmu wypowiedzi): „Dla kogóż dziś mieliby pisać «krytycy-odsiewcy», skoro nikt ich nie czyta?".

Krytyczna refleksja nad problemem stawianym przez książkę Zawady prowadzi Glenia do sformułowania własnej odpowiedzi: „Wyzwolenia upatruję w przyjęciu perspektywy hermeneutycznej, w której mogę przy-służyć się tekstowi jedynie wówczas, kiedy potrafię «do-nieść» kontekst oświetlający znaczenia zawarte w dziele. Ontologiczne umocnienie tekstu poetyckiego może się zatem dokonać z chwilą, gdy czytelnik oswaja to, co w pisaniu innego obce, przemienia je w to, co bliskie". Tak ortodoksyjne opowiedzenie się za tradycyjną (jakkolwiek na to spojrzeć) perspektywą hermeneutyczną, musi również prowadzić do określonego spojrzenia na zadania sztuki: „Stawiam literaturze […] wysokie wymagania, lekturę opatruję zawsze siecią warunków wstępnych. Literatura musi być Świętem, maksymalnym skupieniem języka, który złapany na gorącym uczynku (ten złodziej!), sam siebie nagle zdradza. Wielka literatura mówi właśnie o niewyrażalnym, o tych chwilach, które językowi się wymykają", pisze Adrian Gleń w tekście Ślad wciąż się urywa, który jest komentarzem do znakomitej i przenikliwej książki Jacka Gutorowa Księga zakładek (ten sam numer „Toposu" – 6/2012).

6.

Problemów jest przynajmniej parę, nie sprostają im niniejsze wyimki, chciałbym jednak podzielić się intuicją, iż deklaracja wiary w powinność hermeneutyki (w postaci wyrażonej przez Glenia) jest w istocie unikiem przed odpowiedzią.

Opolski krytyk dostrzega odmienioną sytuację komunikacyjną i przesunięcie pola literatury (czy też szerzej: kultury) w dyskursie publicznym, jednak od razu formułuje je w języku katastrofy. Swoją najnowszą książkę (Do-prawdy? Studia i szkice o literaturze najnowszej, 2012) rozpoczyna od znamiennego wyznania: „z pewnością […] pisanie o literaturze – paradoksalnie, mimo intensywnej obecności na rynku wydawniczym – ulega **dramatycznej** [wyr. – KH] społecznej marginalizacji". W kontekście książki Zawady, we wspominanym tekście Koniec krytyki…, Gleń jeszcze bardziej podkręca rejestr i pisze już w jawnie apokaliptycznym tonie: „Co nastąpi po erze Gutenberga? Czy ona faktycznie na

naszych oczach odchodzi w przeszłość? Czy da się oprzeć cywilizację, usuwając przestrzeń pisma?".

Rzecz w tym, że odnotowana zmiana powinna pociągać za sobą przeformułowanie własnej pozycji, a opowiedzenie się po stronie klasycznej hermeneutyki taką deklaracją nie jest. Można samemu sobie przypisać postawę czytelnika, który od-powiada na wy-zwanie tekstu, jednak pytanie o to, kto będzie odbiorcą takiej postawy, pozostaje otwarte. Odnoszę wrażenie, że objęcie przyczółków hermenutycznych nie jest dalekie od języka klasycznego literaturoznawstwa, a to przecież zostało wcześniej zdyskredytowane przez Glenia jako „jałowe". Doświadczenie własnej niemocy w połączeniu z tonem katastroficznym nie prowadzi do sformułowania pozytywnego programu spotkania z czytelnikiem, ale do jego demonicznej mitologizacji: „[…] zgoda na «bezwzględne okrucieństwo» dzisiejszych czyt(el)ników, którzy w imię płaskiego pragmatyzmu wyznaczają miary sprawiedliwości ludziom i dziełom, będzie […] dyskretnym sygnałem do ostatecznej ofensywy barbarzyńców". Domyślać się można jedynie, że przeciwieństwem czytelników „dzisiejszych" byliby oddani z jakąś nie-dzisiejszą żarliwością uber-czytelnicy, dla których nie tyle się pisze, ile wchodzi z nimi w zawsze już uprzednio przygotowany dialog.

7.

Te dwa obrazy, czytelnika mitycznego i czytelnika mitologicznego, mogą wytworzyć iluzję, że sam odbiorca tekstu nie występuje już w postaci innej niż jako językowa figura. Czytelnik realny musi pomieścić się gdzieś pomiędzy mitem nieobecności a mitologią niemożliwości. Bliżej mi do innego stanowiska, które szkicuję tu zaledwie jednym zdaniem: czytelnik jest – rzecz w tym, że zajmuje czasem odmienne pole od tego, na którym zwykliśmy go spotykać. Sformułowanie zaktualizowanych reguł interakcji z nim jest wciąż zadaniem do wykonania.

A w kontekście lamentu nad opłakaną kondycją czasopism wydaje mi się, że sporo racji ma… Julia Hartwig, która swoją opinię wyraziła poniekąd mimochodem, pisząc, że zjawisko, iż czasopisma „umierają śmiercią naturalną", nie jest znowu tak rzadkie. Bardzo często dzisiejsze utyskiwania obierają za punkt odniesienia ostatnią dekadę minionego wieku, kiedy prawdziwy wysyp pism o kulturze warunkowany był określonym momentem historycznym. Cały czas pozostają w mocy słowa Przemysława Czaplińskiego z Powrotu centrali (2007): „Początek lat 90. w czasopiśmiennictwie polskim i polskiej kulturze nie powinien […] żadną miarą być traktowany jako czas arkadyjski. Należy go raczej postrzegać jaką inną normalność – opartą na zrozumiałym w kontekście zróżnicowań społecznych ruchu ku swobodnej komunikacji". Dziś, gdy sytuacja komunikacyjna – nie dość podkreśleń tej kwestii – jest inna, gdy kluczową rolę odgrywają kultura masowa i rynek (teza Czaplińskiego) oraz teletechnologie z Internetem na czele, czas wypracowywać nowe kategorie albo… przyjmować stare, ale wraz ze świadomością bagażu znaczeń, który im towarzyszy. ●